

Adam Wiaryga-Minieski.

# MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

— Wiesz, Konradzie, jabym chciała pomówić z tobą o twojej żonie. — powiedziała Lola do brata w przeddzień jego wyjazdu.

— Mów, Lolu, o co chodzi... Z radością widzę, że ci się Józia podoba... Bo podoba ci się, nieprawdaż?

— Tak. Podoba mi się. Jest śliczna, miłutka sympatyczna... Otóż właśnie dla jej dobra chciałam ci wspomnieć...

Lola urwała, jakby szukając dalszych słów do wypowiedzenia swojej myśli.

— Coś tak uroczyście zaczynasz. — uśmiechnął się Konrad.

— Nie żartuj, bo ja mówię bardzo poważnie. Otóż... czy nie mógłbyś na czas twojej nieobecności uniezależnić trochę Józję od... mamy...

Brat zrobił wielkie oczy.

— Jakże ja to mogę przeprowadzić?... I po co?... Dlaczego?...

Znajdowali się teraz w salonie. Był to wielki pokój, ciemnawy, ponury, bez słońca i duszny, jakby rzadko przewietrzany.

Urządzony z stereotypową przeciętną elegancją — miał ten sztywny, nieswojski wygląd pokoiów, w których się nie mieszka, a tylko „przyjmuje” się.

Lola wskazała bratu dużą palmę w porcelanowym wazonie, ustawioną na naśladowanej marmur kolumnie. Wachlarzowate liście miały żółte brzeżki i rdzawe piętna, barwę jakąś nienaturalnie brudno-zieloną, a cała roślina zdawała się omdlewać, czy też nawet usychać...

— Widzisz tę piękną palmę?... Jak ona marnuje się... Nie ma tutaj ani odpowiedniego światła, ani powietrza, zresztą nasza służba nie umie jej pielęgnować...

— Skądże ci przyszła na myśl ta palma?... Cóż to ma do Józji zresztą?

— Widzisz, twoja żona przedstawia mi się jako piękny kwiat, który potrzebuje dużo słońca, dużo powietrza, swobody i umiejętnej ręki... Jest zdrowa, śmiała, żywa, wesół, otwarta... W nieodpowiedniej atmosferze może się wypaczyć, skrzywić, zardzewieć, uschnąć...

Konrad wzruszył ramionami.

— Trochę dziwaczne porównanie i strasznie pensjonarsko-książkowe. Skądże wogóle takie obawy...

— Widzisz, mama jest surowa, czasem bardzo nawet osłabła w postępowaniu i... nie ludź się, mama niezupełnie przekonała się do Józji...

Konrad niecierpliwie zmarszczył brwi.

— To już jej rzecz, żeby sobie mamę umiała zjednać... Sądzę, że jej się to z łatwością uda...

— A ja myślę inaczej... Masz rację, moje porównanie Józji z rośliną szwankuje mocno... Roślina nie ma woli i możliwości oporu, ale człowiek może nie zechcieć, może nie pozwolić, żeby łamano jego indywidualność... Znam mało Józję, ale zdaje mi się, że ona...

— Gadanie! Józia jest rozsądna i potrafi się zastosować... Nic jej się przez to złego nie stanie. Musi się zresztą zastosować — dokończył twardo, tonem, który przypominał panią Żarnicką w chwilach, gdy stanowczo i niezłomnie objawiała swoją wolę.

— Jak uważasz... Ja powiedziałam swoje. — odparła siostra i zaczęła przeglądać jakieś świeżo kupione nuty.

Pani Żarnicka własnoręcznie pakowała niewielki, skórzany kuferek, przeznaczony dla Konrada do wojska. Zrecznie i umiejętnie układała bieliznę, drobiazgi toaletowe, wiktuały i papierosy, starając się jak najwięcej pomieścić rzeczy.

Zajęta tą robotą nie odwróciła nawet głowy, kiedy do pokoju cicho wsunęła się Józia.

— Jabym pomogła mamie. — odezwała się.

W głosie młodej kobiety dzwiała prośba. Tak bardzo pragnęła zająć się temi przygotowaniami i tak boleśnie odczuła to, jako krzywdę, że ją od tej pracy usunięto.

— Nie przeszkadzaj — rzuciła opryskliwie pani Żarnicka — to nie do ciebie należy.

Oczy Józji błysnęły nagle stalowo, ruchliwe nozdrza kształtnego noska rozdziły się. Już miała

na ustach jakieś harde słowo, gdy wtem w przedpokoju głośno i jęklonie zadzwieczył dzwonek.

— Konrad! — zawołała i w jednej chwili wybiegła.

— Mogłabyś trochę więcej powagi zachować. — posłała za nią uwagę świekra, ale tego już Józia nie słyszała.

Otworzyła drzwi i zawisała na szyi wchodzącemu mężowi.

— Nareszcie przyszedłeś!

Przygarnął ją ku sobie i mocno całował, nie zważając, że w niedomkniętych drzwiach ukazała się roześmiana twarz pokojówki.

— Konradzie! — ozwał się głos pani Żarnickiej — Chodź tutaj do mnie, moje dziecko. Mam ci coś do powiedzenia.

— Idę, mam. — wypuścił żonę z objęć.

Ale w Józji zaczynał się już budzić bunt. Chwyciła męża za rękę i chmurnie trochę powiedziała:

— Nie! Teraz ja muszę cię mieć choć chwilę dla siebie. I ja chciałabym ci coś ważnego powiedzieć. Przepraszam mamę, bo ja cię teraz nie puszczę.

Konrad roześmiał się.

— Ależ dobrze, dobrze, mały tyranie... Mamusia wybaczy, bo nie jest tak niecierpliwa, jak ty...

Poszli do swego pokoju.

— No, cóż Józik miał mi tak ważnego do powiedzenia? — zapytał, ogarniając ją znowu ramieniem — Oj! Ty, pieśczone moje! Ty, słodka żonko, ty!... Jak ja będę tęsknił za tobą!

Namiętnie, pożądliwie zaczął całować miękko, jedwabiste, pachnące puchy włosów i oczy jasne i usta świeże, słodkie, szkarłatne.

A ona oddawała mu pocałunki i pieścizny z całą siłą swojego wybuchowego temperamentu.

Na chwilę zapomnieli o wszystkim, co było poza nimi, opętani jakimś szaleństwem upojenia.

Józia pierwsza odzyskała przytomność, wysunęła się z ramion męża i jakimś omdlewającym głosem szepnęła:

— Dosyć, dosyć... Konradzie... Ja chciałam naprawdę z tobą pomówić.

— O czym, kochanie?

Wbiła wzrok w podłogę i chwilę milczała. Wreszcie wybuchnęła:

— Konradzie! Weź mnie ze sobą!... Ja z tobą pojedę!

Żarnicki spojrzał zdumiony.

— Ależ, Józiu, to niemożliwe... Jak ty sobie to wyobrażasz?!

Owinęła mu znowu ręce dokoła szyi i, tuląc swoją twarz do jego twarzy, prosiła:

— Weź mnie, weź!... To przecież możliwe!

Ja wiem... Jedną moją znajomą pojechała także z mężem i była przy nim przez cały czas, póki był „w kadrze”. To nie będzie dużo kosztowało. Ja się najskromniejszym zadowolę, będę choć kątem gdzie mieszkała, byłem przy tobie...

Konrad pieścizliwie pogłodził złotawo-brązowe warkocz żony, ale potrząsnął przecząco głową.

— To niepodobna. Czy nie rozumiesz sama, że to zupełnie dziecinny pomysł. Józiu, ty już nie dzieciak jesteś, ale dorosła osoba, poważna mężatka... Miejże trochę rozsądku i zastanów się...

Dziewiętnastoletnia mężatka, przytulona do ramienia męża, zaczęła szlochać gwałtownie.

— Weź mnie, weź!... Ja nie chcę tutaj zostać. — mówiła wśród łkań.

Konrad odsunął ją trochę od siebie i spojrzał jej uważnie w zalane łzami oczy.

— Józiu, powiedz prawdę, ty się boisz mojej matki?...

— Boję się...

— To źle, to bardzo źle i nierozsądnie. — powiedział, marszcząc brwi — Mama ma względem ciebie najlepsze zamiary i będzie opiekować się tobą, jak córką. Ty zaś powinnaś starać się ją pokochać...

Józia nie odpowiadała. Przestała płakać, otarła oczy chusteczką i szarpała palcami nerwowo cieniutki batyst.

— Moje dziecko — ciągnął dalej Konrad — mnie i tak boleśnie rozstawać się z tobą, więc nie utrudniaj mi pożegnania niedorzecznymi pomysłami i dziecinnymi obawami... Pozostawiam cię bowiem pod najlepszą opieką...

Żona milczała.

— No, cóż, dlaczego nic nie mówisz?... Przecież, po zastanowieniu, przyznasz mi, że mam rację.

— Tak, masz rację — powiedziała wreszcie

cicho — a ja byłam rzeczywiście dziecinna i nierozsądna i zrobiłam ci przykrość. Przepraszam. Zrobiła śliczną, pokorną minę. Konrad, rozrzucony, uczuł nagle w sercu coś, jakby niepokój. Przypomniał sobie, co mu mówiła Lola. Może matka rzeczywiście... Trzeba się jednak nad tem zastanowić...

— Słuchaj, Józienko, powiedz mi, czy...

Nie dokończył, bo w tej chwili zapukano do drzwi.

— Proszę! — zawołał Konrad.

Uchyliły się drzwi i ukazała się w nich Joasia.

— Pani bardzo prosi, żeby pan przyszedł.

— Ach! Prawda, zapomniałem, że mama czeka... Już idę... Czeka, Józju, zaraz wrócę...

Wybiegł, pozostawiając żonę samą z jej niewesołymi myślami.

Na stacyi w Łykowie zebrała się spora gromadka osób. To rodziny i najbliżsi przyjaciele świeżo powołanych pospolitałów, którzy właśnie odjeżdżać mają do wojska.

Gwar rozmów... szezebiot dzieci... gdzieś ciche szlochanie kobiece...

Matki i ojcowie żegnają synów... żony mężów... dzieci ojców... siostry braci... dziewczęta narzeczonych, lub przynajmniej sercu najbliższych...

Chwile ciężkie, ostatnie, najbardziej denerwujące...

Już, już za niewiele minut odjadą. Czy na długo? Któż wiedzieć może?... Czy powrócą? I tego nikt nie wie...

Sami pospolitały podnieceni, obladowani kufkami, zasypywani pożegnalnymi wykrzykami, starają się zachować spokój, jak przystoi żołnierzom, ale nie wszystkim to się udaje.

Niektórzy nadrabiają jako tako minę, ale są i tacy, którzy nie mogą opanować zdenerwowania, niezdolni są ukryć wzruszenia.

Jakiemuś wychudłemu czeladnikowi, ubranemu w wytarte już palto i zrudziały „kaszkiet”, spływają jedna za drugą grube łzy na długie, obwisłe wąsiska...

Wstydy się tej słabości, ociera kraciastą chustką oczy i nos, próbuje się uśmiechnąć do żony, która go odprowadza, ale te uparte łzy powracają znowu nieproszone, niewiedzieć skąd się biorą...

Młody, smukły, szczupły chłopak trzyma w swych dłoniach rękę bladej, jasnowłosej dziewczyny i szepcze jej coś cicho, szybko, gorączkowo.

Kilku najmłodszych „rekrutów” zaczyna śpiewać zawadyacką piosenkę żołnierską:

„Jak mnie oddawali,  
To mi powiadali,  
Do „landwer” na tydzień  
Dziewczyna każdy dzień,  
Umta — umta, umta draja,  
Dziewczyna każdy dzień.”

Jakoś chór nie podejmuje melodyi, piosenka przycicha i milknie wkrótce.

Ludzie mają sobie za dużo do powiedzenia w tej chwili pożegnania, aby im się chciało śpiewać...

Stara wieśniaczka, z twarzą pomarszczoną, jak suszone jabłko, obejmuje za szyję rosnącego parobczaka:

— Jantoś!... Jantoś!... Ady pamiętaj! A nie dajże się zabić!... A toć tyś u mnie ostatni!... Ostatni!... Niechże cie Matka Boska prowadzi i ochrania!... A nie zabaczyłeś sobie książki do modlenia?... ani śkaplerza?...

— Nie zabaczyłem, mamusi — odpowiada jakimś nienaturalnie ciekim, widocznie bardzo wzruszonym głosem, syn — a jak Wawrzek będzie jechał z urlopu, to mi przez niego przyslijcie chleb i jakiś garnuszek masła...

Młody jeszcze mężczyzna, o zmęczonych, żółtawej twarzy, z pochylonymi plecami i trochę kablakowatymi nogami, tak charakterystycznymi dla szweców, udziela żonie ostatnich rad i napomnień:

— Pilnuj dzieci i warsztatu. Tych huncwotów chłopaków dobrze w garści trzymaj, a szczególnie na Warka uważaj. Ten hycel tyłkoby żarł, a nic nie robił i, jak nie dopatrzeć, to mu się i do pałców co przylepi... Żeby się też to, na com całe życie harował, nie zmarniło, Panie Boże broń, przez to, że mnie wzięli...

— Już ty bądź o wszystko spokojny... Ja przecie pomyślenie swoje mam, ano i, jak potrzeba, rękę niegorszą. — odpowiada żona, posiadająca nad mężem imponującą przewagę tuszy — Tylko pisz, a częstol!...